



BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Literackich PAN

P. II - 732

P. II. 752



1913

1911

BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Literackich PAN

5293



TO SA

Niebieskie pięty

KTÓRE TRZEBA POMALOWAĆ.

10
3
1.1

Spacer.

Czy spacerować lubię? lubię czasem:

Niebieski denty w czarnym cylindrze,

Wszystkim kokotkom w złote uszka gwizdę,

Wytwornie mizdrzę się lśniącym obcasem;

Pachnący jestem, dumny siłą byka,

Niebieską pozą, co z gestów wykwita,

Drwiącą grzecznością młodzieńczego ciała

I świadomością co rządzi wspaniałal

Stefan Kordjan Gacki.

My staruszkowie.

Żółtemi dziąsły wysrać ogrody

waszych woniejących i tkliwych główek:

W nocy szwendamy się my, antypody,

nudni, jak nudny, zmęczony ołówek.

Męczy nas płaskość, raduje nędza,

w brzuchach nas bolą przełknięte ogrody,

w wieczór wtulimy w kąt, jakby przedza,

dzień rościeńczymy w roztworze sody.

Księżyc.

Księżyc jak teorban nuci poutpourri,

Panienska z okienka spogląda, mruknie: Fi.

A lalki plotkarki szeptały: Ach, pst —słysz—

Panience gra poutpourri nie księżyc, lecz mysz.

Aleksander Wat.

W codziennej sukience bordo,
 Jak słodko przejrzałe wiśnie —
 Jesteś wybornie dobrą
 I czuję się z tobą pysznie.

Na twojej kameo-głównie
 Pachnące snią arabeski,
 Jakby i w samej duszce
 Ciągłe pachnący—bez kwitł.

Codzień mnie witasz, najdroższa,
 Znojna miłością—jak tango,
 Codzień lepsza i prostsza—
 — Z duszyczką ślicznie nagą!

Cały dzień nie widziałem,
 Nie czułem cię, miła, nawet:
 Byłem smutno—niedbały,
 Jak źle zawiązany krawat
 Myślałem bardzo wiele —
 — Pokusę miałem okropną:
 Jak ty swe łóżko ścielesz
 Tajnie podpatrzeć przez okno.

Biegnę, wesół i chytry,
 Za cieniem po trotuarze,
 (gwiżdżę taniec Anitry,
 Ktoś sennie gra na gitarze),
 Szpary wązkie okiennic,
 Oj—kryją niejedno szczęście;
 (Późno: oczy kamienic
 Czarne, jak czarne pieczęcie).

Twoje okna zakryte
 Mówią mi przykre veto,
 Na fałdach rolet wyryte
 Dla zbyt ciekawych poetów.
 Wtem najłaskawszy profil
 Wytrysł na płótno rolety:
 Zgadłem przecudne strofy
 Twojej antycznej sylwety.

I wracam strasznie dumny,
 Jak z egzaminu uczeń;—
 — W piersi, miłością strunnej,
 Koncert radosny mi huczy.

Stanisław Strumph—Wojtkiewicz.

Wiek XX.

W samo południe (po lekcji),
 kiedy jest dobla pogoda,
 bawie się w oglódku z Betsi,
 a Mamuśka psez okno casami wygląda.

Pewnie się biedacka maltwi tlosecke,
 pozwalając na zabawę,
 bo te nieprlatyczne biale majtecki
 stłasnie sie zielenio od tlawy.

Blizko, w maluśkim podwólku,
 luzne ciekawe zecy są zawse:
 skielka, kamycki, snulki, wiólki, piólka —
 — i inne, jesse baldzij ciekawse.

Późnij—nim zawolają do obiadu,
 bawimy sie „w wiejbląda“, „w zaby“, „w mamy“,
 późnij sie z a-pe-ty-tem psy stole siada
 i baldzo jes psyjemnie kiwać piętami.

„Ja dziękuje za zodkiewki, ja plose śledzia“.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz.

SONETY.

W białym, a drobnym pyłe brną strudzone nogi,
Ślepią jaskrawo-śnieżne tynki i marmury,
A dziwne, egzotyczne budowle i mury
Goszczą półnagie plemię, leniwe, jak bogi.

O różowym zachodzie trąb mosiężne chóry
Żegnają krwawą tarczę na nieznane drogi,
A konny pers czerwieni śpiczaste ostrogi
I tańczy hymn do słońca, odmawiając sury.

Tobie, co winne grona karmisz i daktyle,
Wschodnich, bladych lazurów monstrancjo pro-
mienna,
Straszne swą ślepią mocą, proste jak algebra,

4 Upojne snem haszysz i wonnych nargile,
Moich zmęczonych płasów ognista gehenna
czczenie w twych świątyniach wiecznych ogni
gwebra.

Śnieżny beret i błękitne oczy
W jakieś cudne zapatrzone tęcze —
— Wsparł swe piąstki na wózka poręczę,
W którym niańka ponura go toczy —

— Adieu...

Chłopcy ścigają obręczę,
Słońce promień w mętnej wodzie moczy,
Jak do buzi—z ciepłem mlekiem smoczek,
A ja leżę na siatce pajęczej.

Potem—toczyć mnie będą na wózku,
Powtarzając nudnie po francuzku:
Mon petit viel que vous êtes drôle,

Cessez donc répêter sales paroles.
Aż wyrosnę i, goniąc swe koło,
Plusnę w wodę, jak promień wesoł!

Stanisław Strumph Wojtkiewicz.

Rozprawa o kapeluszu.

Kapelusze marzą, by ulecieć w niebo. Czy nie są aby zbyt pewne siebie? Wielkie zabawy kwiatowe, których są **najwyższą** ozdoba, dyskretny kares kobiecej dłoni—oto co je narkotyzuje. I cóż dziwnego. Zebrawszy wszystkie drogocенności Ofiru,—najbajeczniejsze pióra papuzie, kolorów tak rozmaitych, że poprostu kręci się w głowie,—cóż dziwnego, że w swej pysze udają ogrody babilońskie, w których balując, czerwone, młode baby zrywają z baobabów błękitne baloniki. Czy znacie, mdrceę rozgoryczeni i płomiennie smutni w swej samotni, zmieniające się oblicza kapeluszy? Kapelusze, zwracam się do was z taką piosenką:

Kapelu ja bardzo proszę was
Odrzućcie wy swoje maski
Bo ja chcę zobaczyć wasze oblicze!

Smutni mędracy noszący w uszach zamiast kolczyków—szmaragdowe i droższe od nich akstostychy. Cóż obaczycie, zdjawszy maski i skrzydła kapeluszy(plumaze i fantazyjki)? vjrzycie grubych feodalnych senjorów, ściskających namiętnie sklepiczarki ze Starego Miasta, które—niestety! toną w pleureusach.

Anatol Stern.

d. c. n.

W i e c z ó r.

Wymyłem ciało zimną wodą i nagi kładę się do chłodnej pościeli.

Wypiłem szklanke kryształowej wody i palę cygaro.

Okna zasłonięte.

Noc na punkcie błyszczącym, pozdrowienie ci czarny królu murzyński.

* * *

Aktorem byłem, gdy Atlas płakał w porze deszczów. Jestem dostrzeżeniem rozkoszy indyjskich i klęsk nadbałtyckich. Genjuszem ruchu na kontynentach i wodach rozkołysanych. Skargą wulkaniczną wśród różańców Chrystusowych. Wybuchem rakiet karminowych. Pomysłem Niagary od bieguna do bieguna.

Nowy uśmiech.

Starców siwych, kuszą języki pożarów —
Młode murzynki dojrzewające w deszczowych porach roku.

Mieszkańcy pływających lodowych wysp
posiedli o zorzy polarnej księżniczki hiszpańskiej.

Na biegunie południowym wiją swe gniazda wśród śpiewu, ptaki rajskie.

W stalowo-rudych strumieniach chmur
ryby bezłuskie śnią o pletwach z lśniącego jedwabiu.

Zbliża się czas modliwy przedwieczornej.

Otulają mnie tumany różowe.

Pieszczę smukłą, śniadą dłoń Marji Świętej.

Pijąc dreszcze owadów ze stron Południa,
stworzyłem nową rozkosz rąk.

R o z k o s z.

Jestem obywatelem Madagaskaru. Pluję i klnę w miejscach, w których sufler podpowiada płacz. Wybijając do taktu obcasami o kamienne stopnie, wyśpiewuję sobie brednie niesłychane o bohaterskiej śmierci cesarza Tsa-Mino.

Wy nazywacie rzeczy nazwami, nadanemi przy chrzcie, a ja je nazywam po imieniu, imieniem, nadanem przy bierzmowaniu.

Mowa tu o rzeczypospolitej świata.

Mam blond włosy i jestem najnormalniejszym człowiekiem na świecie, podczas gdy wy nosicie zielone czupryny.

Ale to nic nie szkodzi! Bawmy się!

Niech żyje Tsa Mino, cesarz, który zginął bohaterską śmiercią!

Niech żyje sport! Niech żyje foot-ball waszymi głowami, o najukochańsi!

Pluję i klnę! Złoto jesieni na nos mi kapie!

To się nazywa rozkosz.

D j a b o l o.

Zgubiliśmy dużo błyszczących cukierków i przymrużamy słodkie powieki.
Panienci z villi nadmorskich przeoczyły nierozważnie, umorusane, owalne stworzonka.

A w karminowy wieczór, małe, delikatne panie nie zauważyły wąskich fioletowych cieni na swych drobnych pantofelkach.

Poczyzna przemawiać nieopatrzność.

A w końcu hałasujemy głośno pośród srebrnych łańcuchów.

Jerzy Mieczysław Rytard.

* * *

No chodź tu: przysiądź na stolik,
Spódniczką czerwoną szum...
Mów ciszej... głośno—tak... boli...
Malène mych pijackich dum...
Czerwono pieni się heres.
Krew Słońca i Ziemi miąższ.
Siądź bliżej, królewno, teraz
I usta ustami zwiąż...
...Posłuchaj—będziesz mi wierną,
Malène czereśniowych snów?...
Co? głośniej.—Szumi tawerna,
Aż echo płąsa wśród kuf...

6

* * *

Modłę się do witraży,
W tawernie piję dzin, —
Z piosenką marynarzy
Lecę do Chin...

Po nocy—skry kominka...
(...Wtula się w okna deszcz...)
Ljanosy... port... murzynka...
Słoneczny dreszcz.

Pykam glinianą fajkę,
Tkam zwrotki... dawnych chwil...
Ja... stary, głupi majtek...
Ja morski wilk...

A jutro—znów do szynku:—
— Pieśń wichru, pijany hymn...
A noc... tak... przy kominku:—
Łza... fajka... dym...

Patrz, księżyc wierzga kankana
W odbiciu błękitnych lustr...
... Czy byłaś kiedy kochana?
Coś drgnęło w kącikach ust...
..Kajęńca palce czerwone
Wypruły mi tajemię z ócz...—
... Gdzieś kwitną bzy⁷rozwośnione,
Hucz, pjana tawerno hucz!—
Na kraśną pociechę lichu,
Na moją wtłoczoną pierś...
..Podzwania w no w kielichu :
Czy nie wiesz na czyją śmierć?

* * *

Hej, czy mi młodą głowę poto na plecy
dano
Bym nosił w niej trupiarnię,—siną kadziel-
nic rozchwiej?
— Czy poto na mojej klindze Pięć Palców
wyrzezano,
Bym chował ją w jaszczurów inkrustowa-
nej pochwie?...
Wprzęę swe dłonie suche w okrętów
smolne liny—
I mózg oskrzydłę dziką piosenką pjanych
majtków, —
I znowu dal przeskoczę przez wichrów
trampoliny—
Podślucham, co mi za bajki rozpowie stary
tajfun!
I gdy się wgniotę w szturwał na mojej
nocnej wachcie,
Wtopię oczyma w nocy granatowe źrenice—
Ukołyszę me serce we wspomnień ciepłej
płachcie,
Lub wzniosę k'niebu dymiące, by krwawą
kadzielnicę...
A gdy mą duszę chmurną rozzłoci zapach
cytryn,
Gdy mi symfonię burzy wyskrzydłą alba-
trosoy,
Ty zginiesz wtedy, Szatanie—o, mój Ty
smutny, chytry
Uciekniesz, śmierzdząc psiną, chlupocząc
łzawym głosem...

Jerzy Brzęczkowski.

Leżę na słońcu—pluję na chodnik wytarty...
Mimo przechodzą wolno prawomyślne
brzuchy.
Dobrze mi! Mrużę oczy i odganiam muchy,
Co mi na kark siadają—lepki ale hardy.

Hej, Świat szeroki naścież przedemną: otwarty.
Niby karczemne wrota, pełne zawieruchy:—
Nasze dziś panowanie, kto na pięście twardy,
Kto sztandar swój haftuje w krwawych
serc okruchy!

Sapie gorączką Fabryk astmatyczne mia-
sto,
Wiecznie nienasycone i głodne, jak oni,
Co mi zakryli Słońce Brzuchami kraciasto.

Pójdę na pjane Dalą skrzydlate Przewo-
rza,
Śmigły, jak polne lilje, co ni żną, ni orzą—
Ja—bosiak z Bożej łaski, wolny lazzaroni!
Jerzy Brzęczkowski.

Melanchołja.

Siedziały dwa rzędy dam
W obitych pluszem, płomiennych fotelach,
Uśmiechały się tu i tam,
I mówiły z sobą o kotletach.

Wieczorem te dwa rzędy dam
Przemieniły się w pulchne dzwonki,—
I dzwoniły: dam, dam, dam...
Kołysząc się na stu postronkach.

Cudowność.

Lalka leżała —
„Mama“ rzekła
Lalka wstała —
„Tata“ rzekła.

Niebięskie oczy
Są zamknięte.
Są otwarte
Szkłane oczy.

Raz dwa. Raz dwa.
Nie chce chodzić —
Skarżyła się tak:
„Mnie boli brzuszek“.

Anatol Stern.

HISTORJA NAIWNA.

1.

Słońce—ten rozczochrany żyd fanatyk
Wbija igielki cienkie we mnie,
Płodzę mydłanych baniek plemię —
Najbardziej śmieszny z wszystkich matek.

Z ust mych otwartych otchłannie
Rzygam miljonem złotych kul,
Dziwiąc się, że mnie nie rani ból,
Choć rodzę, niby karp we wannie

Tylko że ma głowa tryumfalnie
Rozrosła się tak, że aż mnie szarpie—
I czuję, że w niej, jak w pustej wannie
Płyną—tłukąc ogonem—małe karpie.

2.

Kiedy słońce—ten oblany złotem żyd,
Drobnym truchtem, porykując, ucieknie:
„Co to za głowa—pomyślę—jak to niepięknie!”
Będę długo płakał, żem tak bardzo zbrzydł.

Kiedy róża wyzłoci się pyszna liljowa,
I księżyc srebrne swe listki ukaże i schowa:
Ze wszystkich baniek—pomyślę—choroba!
Pozostała mi tylko szklana ma głowa.

3.

Na tej głowie pomiędzy uszami,
Trzymając się mocno za uszy,
Po wietrze lekkimi skokami
Zabawnej się oddam podróży.

Na swej głowie, nakształt szklanej bańki,
Popłynę w jaskrawej pyjanie
Do swej rozśmianej, paryskiej kochanki,
Która oczekuje mnie w Sjamie.

I gdy lekko na swej głowie dźwięczącej
Opuszczę się przed nią (O szklana poduszko!),
Ujrzę, na słońcu białym siedząca
Różowym języczkiem łaskoce mu uszko!

4.

Ze spienionymi z wściekłości oczyma
Będę zdradę wyrzucił jej znów i znów;
Przecież me wymysły powstrzyma
Liljowa lekka woń bzu.

I będę bardzo niezwykle skruszony,
Ujrzawszy, że to **liljowe majteczki**
Kwitną dziewiczo wciąż wokół mej żony.
Tak nieśmiało ją pocałuje w usteczka.

Śniadanie w lesie Renoir'a.

Biały gors,
Mężki tors,
Suche kolana,
Złotem oblana łąka.
Rajer, opięta rękawiczka,
Ostry nosek trzewiczka,
Wszędzie czerwono:
Falujące głębokie łono.

Wódka i bez.

Noc. Księżyc na niebie.
Zimno brrr jestem pijany.
Jasno. Nie widzę ciebie.
Mam krok ołowiany.

Niebieskie cienie snuje szklanna głowa,
Alkohol czysty, jak wiosenny bez,
Cudowne brednie, niespodziane słowa:
Wódka paruje, rwę zębami bez.

Gdzieś.

Uśmiecham się do lampy;
Pluję na ludzi z rampy;
Światło mnie dziwnie nuży;
Wypijam likier z róży.

Stefan Kordjan Gacki.

Spacer.

* * *

W ruchliwe tłumy wejdziemy w czas wie-
czorny,
Ty będziesz miała suknię lila z paskiem,
Ja będę taki wesół i niesforny,
Jakbym niewinnym, małym był głuptaskiem,

Potem zajdziemy sobie gdzieś do kino,
Tam straszny jakiś dramat nam pokażą.
Później wygodne i miękie kasyno,
Pocziwy kelner z wypłowiałą twarzą.

Dwunasta, wszyscy idą na ulicę,
Ulica ciemna już, cicha i pusta...
Tam ci powierzę moją tajemnicę,
Tak prosto, szczerze... ustami w same usta.

Była noc. W dali miasto
Gorzało łuną krwawą.
Był kwadrans na jedenastą.
I parno było i mgławo.

Tak bardzo, bardzo gorąco.
Pamiętam... rozpiętaś stanik.
Tak słodko, omdlewająco
Patrzyły twoje oczy.

I tak pachniały kwiaty
Duszącą, mokrą wonią,
I tak drażniąco twe szaty
Pod moją mięły się dłonią.

Pamiętam... orgja panik
Objęła nasze zmysły —
Z oczu mych na twój stanik
Gorące łzy wytrysły...

Dziewczyna.

Zygmuntowi Hładkiemu.

Doprawdy, lubię twych ust słodkie wiśnie,
Szczególnie, kiedy słońce na ulicy!...
Siedzimy w parku. Tłum w bramy się ciśnie.
Światło plamami gra na twojej spódnicy.
Orkiestra tusza zagrała od ucha.
Głośno w twe uszy miłość moją krzyczę,
Staruszka jakaś na uboczu słucha,
Potakująco skłaniając oblicze.

Tak pięknie chylisz swoją jasną głowę
I lok twych włosów policzki me pieści,
Ja lubię takie dotknięcia zmysłowe,
Rozkosz spojrzenia i myśli bez treści.

Ostatnią teraz zjemy pomarańczę.
Pozwól, sok słodki z ust twoich wypiję...
Szał mię ogarnia, całą duszą tańczę,
Wyrzucam słowa palące, niczyje!
Orkiestra wzięła najwyższe fuoco,
I rwie się w tempie, tłum płynie do bramy.
Niebo fижłki rzuciło w me oko,

Tak, dziecko... my się ogromnie kochamy.

Rozkosz.

Na piasku białym, jak na jakiejś plaży,
Wyciągam w słońcu obnażone ciało,—
Tak mi się przytem coś bezczelnie marzy
Bezwstydných pragnień szumiącą nawałą.

Te chmurki białe na płynnym lazurze
Tłoczą się, niby piersi napęczniałe,
Jak biodra krągłe, wypukłe i duże,
W łuk się zginają niebiosą wspaniałe.

Ziemia i niebo wzięły się w ramiona
I dają sobie mocny pocałunek,
Krew tętni w żyłach żarem rozjuszona,
Upajająca jak stuletni trunek.

To rozkosz! Leżę rozgrzany i nagi,
Pijany niebem, pogodą i latem,
I pełen jestem ogromnej powagi,
Że oto sobie... spółkuję ze światem!

Leon Soleccki.

Tęcza.

Gdy się likier na słońcu, jak tęcza promieni,
Ciężki i niebieski, wonny i mieniący,
Wspominając kieliszek pierwszy musujący,
Czuję tęczę w mym brzuchu, zmysłami szklannemi!

A potem, gdy mi gardłem płynie wrzącą pianą,
Jestem pyszną rakieta ku gwiazdom wysłaną!

11

Niebo.

Ostrzem niebieskie prując powietrze,
Szpadą płomyków zapalam tysiące;
Królestwa boże rozpinam na wietrze,
Najmilsze brednie uśmiech skraplający!

Słowa rozrzucam w prawo i na lewo,
Drwię z wszystkich ludzi, ze siebie i świata,
Na głowie chodzę, byczka mam za brata,
I fajdam w kieszeń upalnego lata!

Myśl moja dumna, migotliwa, kręta,
Jak rzeźnik prosta, rzeźnik na cieleta!
A gdy me usta nudzi ta gra pusta,
Jak żółw zamykam się w błękitne niebo ..

Stefan Kordjan Gacki.

Wydawnictwa literackie (perjodyczne)

— **Ostatnio** pp. Kasprówcz, Żeromski, Mirjam i inni zapowiedzieli szereg „Nowych Przeglądów”, które mają spełniać rolę — jak zaznaczyli w przedmowie — „cegiełek”. To figlarne określenie cegły, ciśniętej w łeb bezpłciowym pocinom w rodzaju Radosława Krajewskiego, Dębickiego, Kończycza, et consortes, nie odpowiada rzeczywistości, choć jest czarujące w ustach tych Starszych Panów. Wysunięta na pierwszy plan historia „Marcholta grubego i sprośnego” jest raczej wielkim młyńskim kamieniem, który miele mękę dziejów i Re-ligijskiej. Jest to prawdziwie boska komedia dnia dzisiejszego. W skłębionym, gwiazdzistym przekładzie „Ostatniej przejażdżki we dwoje” Browninga, rozrzucił Mirjam oazy fonetyczne w rodzaju Rab a' rad (niewolnik, lecz zadowolony z których kwiecistość nas cieszy. Z wdzięcznością przyjmujemy dary z rąk szanownych i pięknych Starych Panów.

— **Skamander** się wypląsał. Próżno starał się oszukać tłum bądź to za pomocą zręcznie subiektywnie (od „subjekt” związanych poezji Tuwima, romantycznej parnografii, a może prędzej pornograficznej romantyki Iwaszkiewicza, — bądź to za pomocą satyr Słonimskiego. Nawet ten „satyr” nic nie pomógł, społeczeństwo polskie oszukać się nie dało. Natomiast w niezdecydowanej, letniej wodzie Skamandra nurzają się z rozkoszą nieletnie i leciwie niewiasty, i aniołowie z przodu noszący fartuszek (w jakim celu?). „Skamandrowcy” tak pewni są siebie, że pokazują się nawet publicznie na ulicach. Pewną dozą krytycyzmu obdarzony jest jeden tylko Zygmunt Kar-ski, który też nazwał siebie w jakimś wierszu rumuńskim gramofonem. Przypuszczamy jednakże, że pochodzenie tego gramofonu, jak również pozostałej kolekcji gramofonów Skamandra, jest wspólne z towarami oznaczonymi marką: „Pari”, „Li-jon” i „Neapolu”. Zresztą, dzielny artykuł „O czystej formie w teatrze” był pomieszczony w „Skamandrze” przez Witkiewiczza.

— **Zdrój** ma wyraźnie zakreślony program i jasno wytknięty cel: chodzi mu o przekonanie się, czy potrafi zepsu apetyt najbardziej nawet żarłocznemu człowiekowi, względnie buldogowi. Udaje mu się to zupełnie. Statystyczne zaś dane komisji, badającej wzrost liczby idiotów w Poznańskim od czasu ukazania się „Zdroju”, powiedziałyby wiele ciekawego. Sprawa „Zdroju” tyczy się z tego względu nie tyle nas, co Urzędu Zdrowia i Bezpieczeństwa Publicznego.

as.

— **Panurg**, dosiadający w nawracaniu do Życia Weso-łego całą płomienną ascetów Tyberjady—oto człowiek, któ-rego próżno i z dziwnym utęsknieniem wyczekujemy. Kawal-iarz, wycięty z renesansowej bajki, niebieski szelma, prze-wrócony do góry nogami.—birbant natchniony — oto prorok, którego wypatrujemy z upartym niepokojem. Boję się prze-cież, że zdecnie w Polsce, w kraju, gdzie nad wodami Wisły placzą Jeremjarze w kapelusikach od Lauera.

Piccolo dela Mirandola, najstarszy piccolo w Europie—tłumacz powieści zbytecznych;—Grubiński i Grapiński—Paweł i Gaweł, Bim i Bom polskiej literatury; Szylar-Szkolnik—au-tor powieści chiromantycznych, — oto cztery szkapy ponure, ciągnące wóz literatury ojczystej. Wielcy twórcy starej daty trzymają się na uboczu, z niesmakiem patrząc na anioła Pol-ski Odrodzonej. Dwóch odosobnionych fantastycznych futu-rów, więzionych od czasu do czasu,—próżno stara się poru-

żyć ociężałe bydle tłumy, które w odpowiedzi na uderzenia nogą—głupio się uśmiecha.

— **Wobec** tego rozpaczliwego stanu „inteligencji t. zw. polskiej” (żydzi) i literatury, która z jednej strony daje rzeczy nijakie, — z drugiej zbyt wielkie, by nie oddziaływały przy-gnębająco, — garść dobroczynnych poetów postanowiła poka-zać społeczeństwu swe niebieskie pięty i co za tymi idzie — różowy tyłek. Oddziała to bądź co bądź — orzeźwiająco. W książce tej nie znajdzie nic takiego, czego nie możnaby było natychmiast po przeczytaniu zapomnieć. Dajemy ludziom, zna-jącym smak słowa i humoru, lekko strawny i wykwinny posi-łek. Dumni jesteśmy, że to futurystyczne danie niedostępne będzie dla czcigodnej braci paskarskiej, i, że poznają się na nim tylko nieliczni zuchwali smakosze.

Teatr (Japończyk o teatrze).

— Wróciwszy do kraju, dzielił się mikado Kwoko swy-mi spostrzeżeniami z bonzą Sosey;

„Polska jest brzydka. Kwiaty rosną w doniczkach. Ludzie są głupi i krzykliwi”.

„Rozmowa ich jest nudna i życie ich jest nieprzyjemne”

„Ale teatr! Teatr!?”

Kwoko przysiadł z zachwytu i klasnął w dłonie.

„W teatrze płasawają. Jest wiele tłustych kobiet. Nie-kóre są takie tłuste, że mogłyby mieć zaszczyt położenia się w szanownym łóżku ojca mego ojca, gdyby się w niem/tyko zmieściły.

„Mężczyźni przychodzą do teatru dla rozkoszy patrzenia na tłuste kobiety.

„Kobiety przychodzą dla rozkoszy pokazania się męż-cyznom”.

„Ale najprzyjemniej jest, kiedy się wychodzi, bo można się dotykać rękoma tłożących się kobiet, — tycn, które są dobre”.

(An. Stern.)

Boks—Futbol—Oplum—Wyścigi—Słońce—Front Polityka.—Waluta.

W cyrku boks. Curley, Curley, brawo, brawo!

„Polonia” na match’u z „Wisłą” pokazała bajeczne agra-nie. Atak (centrum i prawe skrzydło) był konsekwentny i nar-tarczywy. Bramkarz Polonji używa ryzykownych wypadów na boisko.

Gra correcte. Publiczność senna. Rezultat 3 na 1.

Powstaje (podobno) w naszym mieście nowa palarnia opium. Ma być komfortowa, luksusowa, a nawet wschodnia. Służą to rękojmią powedenia.

Tilly II wygrywa futurystycznie czyli b. ładnie, Tor lekki, elastyczny, a po deszczu — ciężki.

Słońce i słońce.

Plutonowy R. z 36 pp. prosi o przysłanie szczotki do butów i „Skamandra”.

Cały rząd ma (jak słyhać) wyjechać na „tourné dyplo-matyczne”.

Mam tylko 2 marki.

W tych dniach wyjdzie wielki almanach p. t. „gga”

Twa.

Odpowiedzialny kierownik główny: **Stefan Kordyan Gacki.**

Ilustrator „NIEBIESKICH PIĘT”: **Anatol Stern.**

Wydawcy: **Stefan Kordyan Gacki i Stanisław Strumph-Wojtkiewicz.**

Druk. „Wszeczas” (JAN MANCKI) Marszałkowska № 116.



P. II-732

1920

